

## Mały chłopiec w przeklętym kręgu agresji<sup>1</sup>

*Tekst ten, zamieszczony we wstępie do książki "Ubodzy są Kościołem", ukazał się w grudniu 1970 roku w czasopiśmie "Feuille de Route" nr 19. Ojciec Józef Wresiński opowiada w nim o swoim dzieciństwie.*

Gdy cofam się pamięcią możliwie najdalej w lata dziecięce, widzę długą salę szpitalną i moją matkę krzyczącą na pilnującą nas zakonnicę. Zostałem hospitalizowany jako mały chłopiec chory na krzywicę, któremu trzeba było wyprostować nogi.

Tego dnia powiedziałem mamie, że siostry odebrały mi paczkę przyniesioną minionej niedzieli. Mama, której na pewno trudno było zgromadzić tę niewielką ilość przysmaków, rozzłościła się i, nie zwlekając, wyrwała mnie z rąk zakonnicy i zabrała do domu.

I tak już zostałem z krzywymi nogami. Przez całe dzieciństwo musiałem znosić głupie uwagi i drwiny wywołane moją ułomnością, a później, jako nastolatek, byłem zażenowany faktem, że lekko utykam.

Nie dziwiła mnie moja matka krzycząca na zakonnicę. Byłem przyzwyczajony do krzyków. W domu ojciec wciąż krzyczał. Bił mojego starszego brata, ku rozpaczyci matki, bo zawsze uderzał go w głowę. Wymyślał też mamę. Żyliśmy więc w nieustannym strachu.

Dopiero znacznie później, już jako mężczyzna dzielący życie z innymi ludźmi, tak jak mój ojciec, z innymi rodzinami takimi jak nasza, zrozumiałem, że mój ojciec był człowiekiem upokorzonym. Cierpiał z powodu swego

---

<sup>1</sup> Fragment książki „LES PAUVRES SONT L'EGLISE”, LE CENTURION, PARYŻ, 1983; WYd. LE CERF, 2011

zmarnowanego życia. Wstydził się, że nie może zapewnić rodzinie bezpieczeństwa i szczęścia.

Tak właśnie przejawia się zło spowodowane biedą. Człowiek upokorzony do tego stopnia nie może żyć nie reagując. Człowiek biedny, czy dziś, czy dawniej, reaguje w taki sam gwałtowny sposób.

Dla chłopczyka, którym wówczas byłem, oznaczało to wprowadzenie mnie w przeklęty krąg agresji. Była ona sposobem reagowania na przeszkody, na codzienne, wszelkiego rodzaju trudności. I podświadomie stawała się, dla mnie tak samo jak dla ojca, sposobem równoważenia niezliczonych upokorzeń, które musieliśmy znieść z powodu naszej wielkiej biedy.

Mimo upływu lat zawsze mnie zadziwia to, że rodzice rozmawiali wyłącznie o pieniądzach. Nie mieli ich przecież, ale kłócili się o nie bez końca. A kiedy w domu pojawiło się ich trochę, kłócili się o sposób w jaki je wydać. Później, gdy mama została sama, zawsze mówiła nam o pieniądzach. A kiedy była mowa o osobach, z którymi moglibyśmy mieć do czynienia, zawsze podkreślała, że są bogate. O księżkach z parafii zawsze powtarzała: „Oni są bogaci”. Według niej nawet skromna sklepikarka w naszej dzielnicy była bogaczką. Jednak mama wcale nie była zazdrosna. Dla ludzi głodnych i będących w potrzebie liczy się tylko to, co może zaspokoić ich niedostatki. Zawsze tak jest, a w ponurych strefach okalających nasze miasta, zainteresowania, rozmowy, wymiana zdań, sprowadzają się zawsze do tematu pieniędzy.

Już od najmłodszych lat byłem włączony do starań o pożywienie. W wieku czterech lat chodziłem paść kozę na równinnych łąkach; kozę, która nas żywiła, moją dopiero narodzoną siostrzyczkę i resztę nas, dzieci. Prowadząc ją przechodziłem obok dużej bramy klasztoru Dobrego Pasterza, i wtedy jedna z zakonnice odzywała się czasami do mnie. Pewnego dnia zapytała, czy chciałbym

codziennie służyć do mszy. I tego dnia zostałem po raz pierwszy zaangażowany do pracy. Bo dla mnie nie było to nic innego, jak najem. Za słuzenie do mszy miałem dostawać każdego ranka duży kubek kawy z mlekiem, chleb, konfiturę, a w dni świąteczne nawet masło. Ponadto siostry obiecywały dawać mi dwa franki tygodniowo. I to te dwa franki spowodowały, że się zdecydowałem. Tak więc, nie mając jeszcze pięciu lat zostałem włączony w trud utrzymania rodziny. Każdego ranka, przez prawie jedenaście lat, mama wyprawiała mnie na mszę o siódmej. Potrzebowałem co najmniej dziesięciu minut, żeby dobiec do kaplicy za wysokimi murami klasztoru. W zimie marzłem i bałem się ciemności. Bez względu na to, czy wiał wiatr, czy padał deszcz, skulony, strasznie zaspany, czasem krzycząc ze złości, biegłem długą ulicą św. Jakuba, schodziłem pustą, nieprzyjazną ulicą Braulta w stronę łąk i stawiałem się do służby u sióstr jako ministrant, żeby mama mogła dostać 40 sous. Nie pamiętam, bym któregoś dnia opuścił ten poranny obowiązek i jeszcze dziś wydaje mi się, że całe moje dzieciństwo ukształtowało się wokół niego. Widocznie mamę bardzo gnębiło to nasze głodowanie, skoro zgadzała się codziennie wypędzać mnie, małego chłopca, na ulicę. Zapewne zdawałem sobie sprawę z błędnego koła, w którym znajdowała się mama, i dlatego wziąłem na siebie ten obowiązek bez zadry w sercu czy ubliżania Bogu.

Wkrótce zresztą byłem zmuszony powtarzać tę samą drogę, tam i z powrotem, ale w południe. Ponieważ byliśmy najbiedniejszymi w naszej dzielnicy, nic dziwnego, że zaraz po szkole pędziłem jak dawniej do klasztoru, wtedy jednak po to, żeby zabierać do domu, w blaszankach albo puszkach po konserwach, posiłek składający się z tego, co jadły zakonnice. Siostry Magdalenki dawały mi suchy, łuskany groch, soczewicę, ziemniaki, czasem kilka kawałków mięsa, no i ogromy bochen chleba, podstawę naszych rodzinnych posiłków.

W ten to sposób wszystkie dni mojego dzieciństwa były tak dostosowane do życia zakonnice ze zgromadzenia Dobrego Pasterza, do ich modlitw i

pożywienia, żeby głód w naszej rodzinie mógł być zaspokojony.

Myślę czasem o tym, kiedy dziś obserwuję dzieci wdrapujące się na furgonetki albo podążające za wózkiem ojca, który idzie opróżnić jakąś piwnicę albo strych. One stają się śmieciarzami, albo zbierają złom; ja służyłem do mszy, albo w bramie klasztornej czekałem na żywność. Dziś tak samo jak dawniej, dziecko biedne nie ma dzieciństwa, ledwo stanie na nogach, a już musi być odpowiedzialne za to, czy tamto.

A jednak zdarzało mi się, tak jak i dzisiejszym dzieciom żyjącym w biedzie, bawić się i śmiać. Dla zabawy wynajdywałem sobie zakamarki i kryjówki, albo odkrywałem najdziwniejsze kręte przesmyki w starej dzielnicy Angres i tam razem z kumplami wymyślaliśmy labirynty. Istniała jednak owa droga do klasztoru i z powrotem, którą musiałem codziennie przebywać, „droga ponizenia” mojego dzieciństwa, która wymazała mi z pamięci to, co mogło w nim być pocieszające.

Były zresztą i inne drogi wstydu związane z dokuczliwym brakiem żywności. Widze siebie, małego chłopca, zanoszącego do sklepu spożywczego butelkę po oliwie, żeby ją napełnili za 50 centymów. Jeżeli nie była pełna aż do samiuteńkiego korka, mama odsyłała mnie, żeby dolali kilka kropli. Takie to były nieustanne i upokarzające zmagania ludzi biednych chcących zjeść do syta. Innym razem trzeba było odnieść do sklepu mięsnego zbyt twarde kawałki koniny. Przy tej okazji, mając siedem lat, otrzymałem nowe zatrudnienie: Marie – Louise, właścicielka sklepu, zleciła mi robienie dla niej zakupów i prawie codziennie dawała mi w zamian kawałki koniny warte dwa franki. Mama wymagała, by mięso było świeże i kruche. W razie potrzeby nie wahała się odesłać mnie, z niedobrymi kawałkami jako dowód, żeby zażądał lepszego gatunku na rodzinny stół.

Rekompensatą za wstyd była nasza siła fizyczna i ja, nieświadomie, wynagradzałem sobie ciosami pięści zbyt ciężki obowiązek żywienia rodziny.

Pamiętam, że mając sześć lat rozłożyłem przeciwnika pod żywoplotem bijąc go pięściami.

Kiedy moja matka przyszła do zakonnicy w przedszkolu, żeby się dowiedzieć czy przyjmą mnie do szkoły podstawowej, siostra odpowiedziała: „Oczywiście, niech go pani tam pośle, tutaj on bije wszystkie dzieci”.

Tak więc od wczesnego dzieciństwa zazębiały się: brak pieniędzy, upokorzenie i agresja.

Nie przypominam sobie bym wróciwszy ze szkoły zastał w domu mamę radosną. Była opuszczona i nie pocieszał jej fakt, że sama dźwiga ciężar utrzymania czwórki dzieci. Czekala na wiadomość od ojca, a zwłaszcza na pieniądze, które miał przysyłać, a które nie dochodziły. A tymczasem trzeba było zapłacić za gaz, za węgiel na zimę, wymienić piecyk...

U nas było prawie zawsze zimno. W starej kuźni, w której mieszkaliśmy, zawsze było mnóstwo przeciągów. Wiatr wciskał się szparą pod drzwiami, przez przepierzenia. Jedno z nich było zrobione ze skrzynek pokrytych papierem pakowym. Papier się darł i wtedy przeciąg dmuchał w nas.

Było zimno też dlatego, że wszystkie pokoje nad naszym były połączone tym samym przewodem kominowym. Przewód często się zatykał i gdy rozpalaliśmy pod kuchnią, Teresa, córka krawca, schodziła, żeby naurągać mamie, bo dym przedostawał się do niej. Wtedy mama, chcąc uniknąć awantur, wyjmowała z paleniska kawałki węgla uzbierane przez nas na hałdzie koło gazowni. Te grudki, które sortowaliśmy z niemałym trudem, były marnego gatunku, więc raczej wzmagaly, a nie zwalczały ziąb panujący w domu.

Jak wytłumaczyć bierność mojej matki, którą dziś zauważam u tylu biednych matek spotykanych w miejscach, gdzie panuje nędza? Lęk mojej matki, by nie zdrzeć z sąsiadami brał się zapewne ze zmęczenia, ale jeszcze bardziej ze strachu. Mama czuła się cudzoziemką i nigdy nie przestała się obawiać, że mogłaby zostać odesłana do ojczystej Hiszpanii, że policja mogłaby

nas zaaresztować Bóg wie dlaczego. Tak jak matki z CITES D'URGENCE zawsze są w strachu, że ktoś może się zjawić, żeby im wyrządzić jakąś krzywdę. Co do Teresy córki krawca, która przychodziła rugać mamę, zdarzyło się, że gdy byłem jeszcze bardzo młody, złapałem któregoś dnia pogrzebacza i z krzykiem wymachiwałem nim przed Teresą. Nie wiem, co do niej wrzeszczałem, uniesiony dziecięcą wściekłością, ale od tej pory nasz biedny ogień mógł spokojnie się tlić w starej kuchence z dziurawym paleniskiem, którego szpary nieustannie zatykaliśmy gliną wykopaną na sąsiednich łąkach.

Mama często skarżyła się innym na wszystko, co ją gnębiło, na mnie, na kłopoty, które jej sprawiam, na moje opóźnienie w nauce w szkole, na to, że moczę się w łóżku. I to był jeszcze dodatkowy ciężar wstydu na moich ramionach, bo cała dzielnica o tym wszystkim wiedziała. Biedni nie chowają swoich ran. Nie mają dość sił, by skrywać trudności egzystencji, która ich wyczerpuje.

A jednak to dzięki mojej matce zostałem zakwalifikowany do otrzymania świadectwa szkolnego. W szkole publicznej niewielu było niepłacących za nauczanie i w dodatku byliśmy ostatnimi w klasie. Tak więc, gdy doszło do egzaminów kończących naukę, dyrektor nie chciał zaryzykować i mnie do nich dopuścić. Nie zakwalifikował też mojego starszego brata, ale matka nie oburzyła z tego powodu. Gdy jednak przyszła moja kolej, nie zrezygnowała tak łatwo. Wiedziała, że nie jestem głupi, że mam za dużo różnych odpowiedzialnych obowiązków na karku, także za dużo cierpień, i że zbyt głęboko odczuwam krzywdę. Dla nas, otrzymujących pomoc charytatywną, ale nigdy nie to co nam się należało, krzywdy były codziennym losem. Mama nie chciała, żeby przybyła mi jeszcze jedna. To ona spowodowała, że mnie zapisano do egzaminu i że otrzymałem świadectwo ukończenia szkoły.

Dopiero dziś zdaję sobie sprawę ile nagromadzonego oburzenia, ile odwagi potrzebowała matka, by do tego stopnia bronić swoich dzieci. Broniła

mnie też z uporem, przyparta do muru, kiedy panie z opieki parafialnej wymyśliły, żeby mnie umieścić w Domu Sierot w Auteuil. Projekt pozornie rozsądny, ale jakże upokarzający dla dzieci urodzonych w biedzie i dla ich matki, decydującej się oddać je na wychowanie zdala od reszty rodzeństwa. Pod wpływem jednego z dobrze mi znanych gwałtownych odruchów jej poniżonej godności, mama odmówiła. Woląca zrezygnować z życzliwości aktywistek parafialnych.

Jednak byliśmy i tak na marginesie. Zbyt biedni, byliśmy wśród proletariatu dzielnicy traktowani „osobno”, związani z resztą przez jałmużnę, nie przez przyjaźń.

Nie byliśmy jedynymi. Pamiętam pewną matkę pijaczkę i jej nieślubnego syna. Gdy wracał wieczorem znajdował matkę leżącą w kuchni, zaciągał ją do łóżka i układał do snu. Czasem przychodził do nas i mama zapraszała go do stołu częstując naszym chlebem i zupą.

Była też wróżbiarka. Nie życzyła sobie, by psy przystawały pod jej oknem. My dzieci też traktowaliśmy jej ścianę jak pisuar, więc wymyślała nam. Lubiliśmy ją i dlatego dokuczaliśmy jej. Nie dokuczaliśmy rzeźnikowi Recifowi, ani stolarzowi Cesbronowi. Oni byli wielkimi w dzielnicy, nie należeli do naszego świata.

Któregoś dnia znaleziono wróżbiarkę w jej norze martwą z głodu. Przez dwa tygodnie nikt się o nią nie zatroszczył. Tego wieczoru mama płakała, bo to samo mogło się zdarzyć nam. „Kto by się nami zainteresował – mówiła – ja też tak umrę”.

Czyżbym od niej nauczył się walczyć, nie tylko dlatego, by wziąć odwet za upokorzenie, co w imię wyzwolenia ludzi wykluczonych?

Pewnego dnia jeden z najwyższych chłopców w szkole – nazywał się

Siche – okropnie się rozłościł na słabszego od siebie małego kolegę. Przygniótł go pod drzwiami do ubikacji, tłukł pięściami i kopał. Co mnie wtedy napadło? Rzuciłem się na tego dużego i zacząłem go bić pięściami, kopać i drapać po twarzy, aż przyszedł nauczyciel i siłą mnie odciągnął.

Dlaczego tak zrobiłem? Ten cherlawy malec nikim dla mnie nie był. Jednak właśnie on utkwiał mi w pamięci, a nie kara, która mnie spotkała. Zostałem wyrzucony ze szkoły. Ale mało pamiętam z wszystkiego, co potem nastąpiło. Z całego zamieszania, które powstało, najlepiej pamiętam, jakby to był punkt zwrotny, tego chłopczyka, który dał się bić znacznie silniejszemu od siebie dryblasowi. Wydaje mi się, że to właśnie był początek walki, w której będę zapewne przegrywającym, lecz którą będę prowadził z uporem przez całe życie.

Stać się bojownikiem walczącym w obronie ludzi wykluczonych nie jest jednak proste, bo działa się nie dla poszczególnych osób: matki pijaczki, wróżbiarki, słabowitego chłopczyka – raz tu, raz tam. Trzeba ich dostrzec w całej masie ludzkiej, poczuć się częścią tej masy; będąc już dorosłym odnaleźć siebie w tych malcach z baraków czy raczej śmietnisk otaczających nasze miasta, w tych młodych bezrobotnych, którzy płaczą z wściekłości. Oni utrwalają w nieskończoność nędzę mojego dzieciństwa, świadczą, że sytuacja ludzi w łachmanach trwa wiecznie.

Jest w naszej mocy wygrać z takim beznadziejnym stanem. Nędza przestanie istnieć już jutro jeżeli pomożemy tym młodym wziąć sobie do serca los ich społeczności nędzarzy, przekształcić agresję w świadomy bój, uzbroić się w miłość, nadzieję i wiedzę, po to, by walkę z ignorancją, głodem, jałmużną i wykluczeniem doprowadzić do końca.

Nie będzie to sprawa jedynie rządów, ale też ludzi zgadzających się iść razem z wykluczonymi, związać swe życie z ich życiem, czasem wszystko



opuścić, by dzielić ich los.